Rok 1898. Lwów, dnia 28. lutego. Nr. 9.

ECHO LITERACKIE

Dodatek tygodniowy „Dziennika Polskiego“

Redaktor: Izydor Kuncewicz.

Współczesne prądy w malarstwie.

Żaden chyba czas nie był tak obfitym w wynajdywaniu przeróżnych haseł, kierunków i szkół w sztuce, jak ostatnie kilkadziesiąt lat. Słusznie też jeden ze starszych, powszechnie cenionych malarzy powiedział: „Te wasze *izmy*, realizm — naturalizm — impressjonizm — symbolizm — mistycyzm i t. d. słowem to co się teraz spotyka w malarstwie i literaturze, są to piękne wynalazki, boję się jednak, wybacz pan, by kiedy z tego wszystkiego nie wynikł w końcu jaki *idjotyzm*, bo często obok dobrych rzeczy widuję obrazy, które chyba do takiego rodzaju i kierunku w malarstwie mógł bym zaliczyć... No, ale wyście jeszcze młodzi, pełni fantazji, jak się wybawicie, mam nadzieję że powrócicie do naszych t. j. do starych, spleśniałych zasad, do tego wzgardzonego przez was — rzetelnego malarstwa... Przekonasz się pan niebawem“. Zastanowiłem się zwłaszcza nad końcowym frazesem i przyszedłem do przekonania, że stary ten jegomość mimo żółciowego tonu w jakim się wyrażał, może mieć słuszność, bo przecie w końcu jest to moda a wiadomo jakie moda ma kaprysy i jak często gdy już konceptu nie starczy wraca z małemi zmianami do czegoś co już było. Słuszność to jednak względna, bo pan ten widocznie nie śledził rozwoju sztuki jako takiej, wielkiej, europejskiej, ale widział blade, nieudolne, iście karykaturalne nieraz naśladownictwo tejże u nas, n. p. na wystawach lwowskiej i krakowskiej, gdzie pojawienie się obrazu o prawdziwej doniosłości w malarstwie — wybitniejszego malarza polskiego czy obcego, jest rodzajem święta. Wysyłają oni bowiem dzieła swe za granicę z wielu przyczyn, których tu przytaczać nie chcę, lub też stale za granicą mieszkają i tyle się o nas troszczą co przypuśćmy mieszkańcy księżyca. Dlatego też wszystkie te importowane do nas i uprawiane przez mniej uzdolnionych kierunki szkoły czy sposoby wykonania charakterystycznie, trudniej wywalczają sobie prawo obywatelstwa i krótszy mają żywot — podczas kiedy wszędzie w Europie a szczególniej w Niemczech przedostatni kierunek t. j. realizm uszlachetniony później nazwą *weryzmu*, długo się utrzymał i dziś jeszcze panuje. Wynikł z naturalnej potrzeby, gdyż za wiele już było naśladownictwa anemicznego, bezpłciowego pseudoklassycyzmu, a napuszona koturnowa szkoła prawdziwych i nieprawdziwych Corneliów, Pilottich i Kaulbachów, no i takich Francuzów poważnych w treści a słodkich w wykonaniu jak Baugeraux Henner i wielu innych, także się już wygadała, a przytem, wymagała wielkich talentów (których brak dotkliwie dawał się uczuć), wielkiego nakładu pracy i studjów; naśladownictwo zaś było za ubogie i za niedołężne. Wtedy to wzięto się do czegoś wprost odmiennego, a zrozumiawszy ducha czasu, prądy materjalistyczne, powiedziano sobie: malujemy naturę, naturę i jeszcze raz naturę t. j. życie prawdziwe ale nie przyprawione, nie zabarwione dowcipną bajką, tylko takie jakie się objawia codzień w rzeczywistości, ściśle obserwowane i sumiennie, choćby naiwnie odtwarzane. Malowano tak. Była to istna rewolucja, poniżano, wyśmiewano starych i nieraz bardzo zasłużonych artystów, nazywano ich w języku malarzy — kiczen-malarzami t. j. schlebiającymi bajką lub słodkiem wykonaniem banalnych tematów — jałowym gustom publiczności, malarzami sprzedajnymi, a tem samem wiele sprzedającymi. Posypały się więc oddzielne stowarzyszenia młodych, poszczególnych grup malarzy, którzy to, lub inne hasło uważali za święte. Ale rozszerzono widnokrąg, podniesiono poziom moralny malarstwa, kultywując rzeczywiście z pietyzmem prawdę i piękno malarskie tak w kolorze jak rysunku i tak, powoli, zerwawszy już raz z tradycją i receptą, zaczęto unikać sztucznego oświetlenia pracowni, patosu i teatralności w kompozycji. zamieniono palety o ciemnych, brunatnych barwach, t. z. „Szwarzmalerei“) na takie o kolorach tęczy i blaskach słońca, malowano światło dzienne, powietrze, no i słońce, — niebywały dotychczas na płótnach prawdziwy blask słoneczny „plen air“. Jasność zapanowała w salach wystaw a otucha wstąpiła w młode serca — wreszcie po manowcach doszło się do tego, że malowano dla sztuki czystej, nie widzianej przez okulary akademji i teorji, i osiągnięto, cały szereg prawdziwych arcydzieł, pod względem obserwacji piękności efektów świetlnych w naturze, czystych rozkoszy i skarbów malarskich. Wypłynęli mistrze wykonania, którzy posunęli technikę do wyżyn iście imponujących, szczególnie w krajobrazie. Mam na myśli Francuzów, Włochów i Holendrów w pierwszym rzędzie, jako pejzażystów. Z naszych artystów kierunek ten świetnie reprezentowali za granicą tak potężne, indywidualne talenta jak obaj Gierymscy i Chełmoński. dalej Fałat, Brandt i Kowalski *w obrazach poważniejszych*. Zaznaczam to tem wyraźniej, że trzej ostatni malują obok prawdziwych dzieł, często rzeczy łatwo sprzedajne. Dalej poszedł w pomienionym kierunku cały zastęp sił młodych wśród których najbardziej w swoim czasie Szymanowski usi,

łował stworzyć wielkie dzieła. Lecz o ile tamci tylko pod względem pojęcia sztuki w ogóle bratali się z zagranicznymi kolegami a przytem pozostali z krwi i kości polskimi malarzami, nawet temperamentem w sposobie wykonania, o tyle młodsi przyswajali sobie niepotrzebnie zewnętrzne cechy wykonania obcych, jak Liebermana, Thoma i t. d. Szczególnie czynili to kształcący się w Monachium, i w Paryżu. Krok ów nie był zupełnie szczęśliwym, jak się niebawem okazało, bo wyjąwszy kilku iście wielkich malarzy, cały szereg średnio uzdolnionych — doszedłszy do względnie doskonałego wykonania, a zapomniawszy lub niezrozumiawszy należycie, że sztuka w każdym razie winna być piękną, doprowadził niestety do tego, że malowano rzeczy wprost brzydkie, byle tylko dobrze i wiernie wykonane. Wytworzyli sztukę niesympatyczną, bezmyślną, (mimo, że próbowano nawet rozwiązać spory i kwestje społeczne i polityczne, na płótnie), beztreściwą i odartą ze wszelkich wpływów moralnych, kształcących umysł i serce widza. Ponieważ zaś sprawa nie wszędzie jeszcze dojrzała a już poczęła się psuć, przeto chcąc ocalić honor domu, młodzi wynaleźli oryginalność obserwacji, jednostronność widzenia, impresjonizm... Więc znowu rewolucja, stowarzyszenia i nieodzowne potępianie wczoraj jeszcze świętych zasad i celów, a publiczność, niechętna dla nowości dziwnej, dla niej za bałamutnej, odwraca się od tych płócien przesyconych intenzywnymi, fosforycznymi kolorami, bez wzajemnej harmonji i tonu, robiących raczej wrażenie kłótni kolorystycznej. Słyszano nieraz zapytanie: „Czyś pan kiedy widział takie sine konie lub żółte niebo, takie czerwone drzewa, zielone twarze?“ Wruszano ramionami, słowem, nie wiedziano o co chodzi. A szło o skrajną obserwację problematycznych, przypadkowych efektów refleksów w naturze, przemijających nieraz z błyskawiczną szybkością. Przeciętny widz rzadko kiedy miał sposobność widzieć i zapamiętać tego rodzaju zmiany kolorystyczne w naturze, przytem malarze, nietylko że wybierali takie wzory ale przesadzali je w dziwaczności, chcąc zwrócić przebojem na się uwagę publiczności. Cel ten osiągnęli rzeczywiście, ale nie sympatję... Dopiero później, gdy odstąpiono od kapryśnej przesady i nieszczerego wkłamywania w siebie i drugich że w naturze takie brutalne widzieli sprzeczności koloru, gdy poczęto impresjonizm stosować w łagodniejszej formie bardziej do natury zbliżonej, potęgującej nawet tejże wrażenie, wracała powoli sympatja, zrozumienie i uznanie nowego kierunku. Dziś stosują go nawet w portrecie, który to dział w malarstwie chyba najmniej ze wszystkich innych, z powodu natury aktualnej swego przeznaczenia, nadaje się dla impresjonistycznych eksperymentów.

Impresjonizm, przeszedłszy fazę zewnętrznego objawienia się w formie widzenia natury w krajobrazie, pogłębiony, uduchowniony, wnikł w myśl twórczą tak w literaturze jak malarstwie. Myśl impresjonistyczna szła w parze z takiemże wykonaniem, odbieżono więc daleko od naturalizmu i wkroczono w krainę fantazji, zagadnień filozoficznych i psychologicznych, które również usiłowano rozwiązać na płótnie.

(Dokończenie nastąpi).

Leon W...

ALEKSANDER KIELLAND

POD SZTANDAREM PRACY.

Powieść.

(Przekład z norweskiego).

Ciąg dalszy.

Najgodniejsi z panów zajęli miejsca w gabinecie własnym gospodarza, a i usługa była dla nich osobna. Wśród pań kręcił się Delphin, a w salonie przechadzało się kilka młodych panien, gardzących zarówno jedzeniem, jak jedzącymi.

Powoli większość pań zaspokoiła głód, a szarańcza wysuwała swoje macki aż do małego salonu, do właściwych stołów damskich, gdzie jeszcze kilka starszych pań wyszukiwało sobie główki od szparagów i białe piersi kurcząt.

Gospodyni wiedziała, że jedzenia było dosyć; chwilami jednak doznawała czegoś w rodzaju obawy, gdy patrzyła na ten niezmordowany tłum, a ktoś, który stał przy niej, słyszał, jak mruczała:

— Boże, ależ to tak wygląda, jakby jedzenie wpadało w jakąś wielką przepaść!..

Z gabinetu gospodarza słychać były rozmowę i gwar ile razy tylko służący drzwi otwierał. Hierth i Bennechen, którzy siedzieli w przyległym pokoju, podchwytywali niektóre słowa; o ile mogli zrozumieć, toczyła się w gabinecie dyskusja polityczna.

— Ten Falck-Olsen, to jednak bydlę — rzekł Bennechen — nie nauczy się nigdy zapraszać towarzystwa.

— Jakto? — odpowiedział Hierth. — Przecież tutaj jest cały świat.

— Sztokfisz! Jonasz! Ależ to właśnie w tem błąd; zaprasza każdego. Możesz sobie wyobrazić, jak to nieprzyjemnem jest dla mego ojca, spotykać się z rozmaitymi krzykaczami, którzy się tutaj znajdują.

— O tem rzeczywiście wcale nie pomyślałem — rzekł Hierth poważnie.

— Przedwczoraj słyszałem, jak ojciec mówił do Falck-Olsena: „Jeżeli pan więc nie chcesz przystąpić otwarcie do jakiegoś stronnictwa, to...“

— To co? — zapytał Hierth i pochylił się naprzód.

— Ach! jesteś sztokfiszem, Jonaszu! Nie powiedział nic więcej; ale możesz sobie przecież wyobrazić, co to ma znaczyć.

— Tak, naturalnie! Hm! Nie, do djabła, ty, czy minister powiedział to naprawdę? — Hierth uśmiechnął się i spojrzał na przyjaciela chytrze.

Do polki po kolacji zagrała orkiestra melodję z „Książątka“. Taniec poszedł żywo; „kamieniotłuków“ prawie wcale widać nie było.

Wesoła muzyka weszła im w krew, która i tak już wskutek jedzenia i picia znajdowała się w pełnym obiegu. Kandydat Smith śpiewał przez zęby jakiś refren z francuskiej operetki; nauczył go się od kogoś przybyłego z Paryża.

Karolina Hjelm, jego danserka, zamęczała go prawie na śmierć, aby się dowiedzieć, co śpiewał, on jednak odpowiadał ciągle, że to się nie da przetłómaczyć.

Karolina miała odwagę zapewnić go, że znosi porządną porcję czegoś podobnego; pozostał jednak przy swoim refrenie, aż nareszcie oświadczyła, że teraz już go prawie rozumie.

Nastąpiła polka, którą miał tańczyć Delphin z Hildą Bennechen. Zapomniał już, dlaczego ją właściwie zaprosił do tańca. W pierwszym obrocie był też trochę lekceważącym wobec niej i rozmawiał z panią Hjelm, która siedziała we drzwiach za tańczącymi.

Hilda Bennechen zauważyła to zaraz i zrobiło się jej przykro. Przez cały wieczór cieszyła się w połowie na ten taniec, w połowie obawiała się go.

W domu szambelan był uprzejmym dla niej, ale przeważnie traktował ją jak dziecko; znał ją jeszcze z tych czasów, gdy nie była konfirmowaną.

Już nieraz myślała sobie, że taniec z nim będzie bardzo wesoły. Teraz czuła się niewypowiedzianie rozczarowaną; przypomniała sobie wszystkie docinki, jakich musiała wysłuchać od przyjaciółek i pragnęła szczerze, żeby jej był lepiej nie spotkał ten zaszczyt.

W trzecim obrocie zapytał się ją o coś. Spojrzała na niego odpowiadając, a szambelan rzekł do siebie:

— Ależ ona ma nawet oczy!

Po tem odkryciu prowadził dalej rozmowę z większem zajęciem, aby ją częściej nakłonić do podnoszenia oczu. Szczere ciemne oczy, były czyste, a za każdym razem, gdy podchwyciła ten wesoły ton, który poddawał, brzydka jej twarz nabierała życia i stawała się niemal przyjemną.

Gdy taniec się skończył, rzekł:

— Ależ droga panno Hildo, jak się to właściwie stało? Przetańczyliśmy nie więcej jak cztery razy, najwyżej cztery razy!

Spojrzała na niego podejrzliwie, i odparła potem z uśmiechem:

-- To pochodzi stąd, że pierwsze dwa razy tańczyłeś pan z panną Hjelm.

Jerzy Delphin umiał ocenić dobrą odpowiedź. Spojrzał na nią zdumiony; tymczasem zagadnęła ich inna para i dokoła nich utworzyła się grupa tańczących. Gdy szambelan opuścił swoją danserkę, poprosił ją raz na zawsze o pierwszą polkę po kolacji na wszystkich następnych balach w sezonie.

Teraz zabawa poszła całą siłą pary. Tańce szły z życiem i werwą, że niktby nie uwierzył, iż ma przed sobą „kamieniotłuków“ z pierwszego walca. Nastrój doszedł do szczytu, gdy krótko po północy podano deser z szampanem.

Przy tej sposobności minister wygłaszał zwykle mowę na cześć domu — krótką, dyplomatyczną mowę bez kwiecistych zwrotów. Takie krótkie wstrzemięźliwe mowy wygłaszał minister chętnie, podczas gdy w rozmowie posługiwał się przeważnie gestami i dyskretnym uśmiechem, odmierzonym jaknajdokładniej.

Na cześć pań przemawiał młody poeta, który niedawno wydał tom swych poezyj pod tytułem: „Palące rymy i płonące rytmy“. Toast był także wierszowany i znalazł ogromny pokl[illegible]k, chociaż panie znajdowały, że wiersze były okropnie nud[illegible].

Następnie, ku przerażeniu swych przyjaciół wysunął się nag[illegible] jasnowłosy kandydat Szmith z ognistym opisem Jotunhei[illegible]. Nie wyjaśniono dotąd, czy win[illegible] czy miłość popchnęły go [illegible] tego kroku; pewnem jest jedna[illegible]e, że mowa sama [illegible]

Mianowicie, gdy się znajdowano jeszcze na szczycie góry — mówca powiedział nawet ile setek stóp nad poziomem morza — między przepaściami i lodowcami, wtedy zjawiło się w opowiadaniu coś, niby para oczu i postać nimfy, którą, jak niektórzy potem twierdzili, miała być Karolina Hjelm. Jak było, tak było, dość, że z mową tą stałoby się tak, jak to powiada jakaś bajka: „Jeżeli się jeszcze nie skończyła, to trwa do dzisiejszego dnia“, — gdyby nie długi, lękliwy student Hansen, który nagle, jak raca, wypalił na całe gardło:

— Niech żyje Jotunheim!

Wśród powstałego wskutek tego śmiechu, pito nawet na cześć Jotunheimu, ku wielkiemu zmartwieniu mówcy.

Z studentem Hansenem stało się nagle coś niepojętego. Kiedy bowiem po kolacji dopadł butelki portwejnu, pomyślał sobie, że teraz już mu jej nie odbiorą. Dlatego też schował się za kosz z kwiatami i pił kieliszek po kieliszku, aby się zemścić. Portwejn jednak był złośliwszym od Hansena i gdy ten z podniesioną głową kroczył przez salon, aby wśród polki zaprosić którą z pań do tańca, przybiegł jeden z jego przyjaciół i odciągnął go za ramię:

— Ależ Hansen! Jesteś kompletnie pijanym, człowieku!

Takie przemówienie nielitościwe wywarło na Hansenie bardzo przykre wrażenie, toż z swego dumnego nastroju popadł nagle w najgłębszą rozpacz.

Ona to popchnęła go do tego, że mowie kandydata Smitha zadał cios śmiertelny.

Kotyljon był dziki. Kilka par tańczyło osobno w wielkim salonie i pędziło przezeń w szalonym galopie.

Okropny Hans śledził swoją ukochaną przez całą noc dzikiemi oczyma i, gdy Ludwika nareszcie, napół popychana przez Karolinę, udała się do niego, aby z nim pomówić, odwrócił się do niej plecami i poszedł do domu.

— Nie troszcz się o niego — pocieszała ją Karolina. — Jest naprawdę wstrętny!

Ludwika stała przez chwilę przybita, gdy jednak nadszedł jej tancerz, szepnęła do przyjaciółki:

— Bawię się tak doskonale, że jutro z chęcią pozwolę się trochę zganić.

Po tych lekkomyślnych słowach zaczęła znowu wirować.

Była już czwarta. Matki stały dobrze zapakowane w przedpokojach, napół umarłe ze znużenia i czekały na córki, które tylko raz jeszcze chciały przetańczyć w koło. Ojcowie stali w paletotach z cygarami w ustach i kupili się dokoła stołu na którym stał „toddy“ i koniak.

W sali tańczono jednak, jakby tu chodziło o życie. Pary kręciły się jak opętane w powietrzu pełnem kurzu, a wypalone światła zaledwie błyszczały, kopcąc niemiłosiernie. Dokoła pod krzesłami i kanapami leżały resztki trenów od sukien, zwiędłe bukiety, karneciki i zapocone chustki, a w ciężkiem powietrzu unosiła się mięszanina zapachów: ludzi, kurzu, pomad i perfum. „Kamieniotłuki“ pędzili jak szaleni z włosami opadłemi na oczy i z krawatkami, pozsuwanemi na bok, podczas gdy panie zwisały im w objęciach jak długie szmaty tiulu i tarlatanu, które panom oplątywały nogi.

Najlepiej ze wszystkich trzymała się panna Zofia Falck-olsen. Jej ubiór, rękawiczki i włosy znajdowały się w najlepszym porządku, tak, jak wyszły z buduaru, a uprzejmy uśmiech nie zniknął z jej twarzy ani na chwilę. Mimoto nie była zadowoloną z wieczoru. Delphin nie zbliżył się do niej wcale, Bennechen był nieznośny, a Hierth wstrętny.

Nareszcie skończono z życzeniem dobrej nocy i ostatnie powozy odjechały. Falck-Olsen zapalił sobie nowe cygaro i wyciągnął się w fotelu. Pani Falck-Olsen rozpięła gorset i rzu-

ciła się na jakieś resztki deseru, przysięgając, iż jest głodna jak wilczyca.

Zofja rozebrała się starannie, i okropnie się gniewała na Ludwikę, która z płaczem, podobnym do wycia, kładła się spać.

W pokoju Hiertha natomiast, siedzieli obydwaj przyjaciele jeszcze z godzinę przy butelce ponczu. Obydwaj byli w uroczyście wzruszonym nastroju i przysięgali sobie wzajemnie wśród łez, że przyjaźń ich potrwa wiecznie; nawet ich wspólna miłość do Zofji Falck-Olsen nie będzie jej w stanie rozerwać. Z tego tematu przeszli na chrzciny, nad czem dysputowali zawzięcie, aż nareszcie pożegnali się, gdy na świecie był już dzień biały.

VIII.

Przez wzgórza, szedł jednego z ostatnich dni listopadowych, z szyją, owiniętą ciepłym szalem — było bowiem bardzo burzliwie — naczelnik pilotów Seehus, mrucząc pod nosem ulubioną swoją piosenkę:

„Najsłodsza Zosieczko
„Ach, pocóż każesz czekać mi?“

Przyszedł list od Andersa, a wiedział jak Njaedel niecierpliwie czekał na wiadomości o „sprawie“.

Na dole, w dolinie leżały niskie domki Njaedela wśród świeżo wykarczowanych pól, a w piasku widać było na pół ukończony rów. Właśnie przejeżdżało kilka wozów z łoziną.

— Ten wiedział już, co robi, ten Sören Börevig, gdy dobił się u Njaedela tego, że ten zwrócił się do króla! — mruknął naczelnik pilotów.

Burza ciągnęła z południowego zachodu przez płaskie wybrzeże. Była to silna burza jesienna i popołudniu zaczęło się szybko ściemniać.

Naczelnik pilotów stanął i spoglądał okiem marynarza na morze, zanim zeszedł z ostatniego pagórka. Na południe płaszczyzna zamkniętą była przez kilka gór, wystającyech na cyplach, o które rozbijało się morze. Niekiedy morze wznosiło się do góry i wtedy na jedną lub dwie sekundy powstawał biały słup, który się odrzynał na szaro-niebieskiem tle, a potem spadał jak zasłona piankowa na kamienie.

Ku północy mógł widzieć pas piany w długim łuku; był tak szeroki, że według jego obliczenia mierzył dziesięć sążni w wodzie. Dalej jeszcze, mógł widzieć światło latarni morskiej w Bratooldzie, którą właśnie zapalano.

Żagla nie było widać ani jednego; chmury wchodziły same w siebie, nie zmieniając miejsca; powietrze przesycone było burzą. Z morza dochodził trzask, jakiś głuchy. przeciągły ryk, to silniejszy, to słabszy; wśród tego grzmiał huk, jakby walono z armat. Wiatr szumiał i gwizdał w drutach telegraficznych na drodze, a mewy, które przyleciały z morza, rzucały się z rozpostartemi skrydłami ukośnie naprzeciwko burzy.

Naczelnik pilotów zszedł na dół z Börevigsrindu do Swartenmoor, ale już nie mruczał swej piosenki; przeciwnie, klął nawet pocichu.

Wielkie okragłe kamienie leżały na drodze; woda deszczowa spadła z pagórka i pędziła teraz ukośnie, pozostawiając za sobą głęboką rynnę i szumiąc.

— Chciałbym wiedzieć, czyby nie było najlepiej napisać do Andersa, który ma być tak djabelnie mądry! — mruczał naczelnik pilotów. Ten kawałek drogi zdawał się wpędzać go do grobu.

Njaedel siedział na wielkim kamieniu, jak na koniu wśród pola. Uderzał silnie i regularnie w dłuto. owinięte wełnianą szmatą, które trzymał w lewej ręce. Od czasu do czasu wyjmował żelazo i do dziury sączył wodę z gąbki, która znajdowała się w starej puszce blaszanej, zostawionej na polu podczas wycieczki przez ludzi z miasta.

Wiatr dął silny, to też jego czerwone, kędzierzawe włosy rozwiewały się na wszystkie strony i wyglądały, jak mnóstwo korkociągów; był tak gorliwie zajęty robotą. że naczelnik pilotów musiał podejść bardzo blisko do niego, nim go Njaedel zauważył.

(Ciąg dalszy nastąpi).

LIPA.

Jak olbrzym siły niezgiętej świadomy,
Który przerasta wzrostem niski tłum,
Stanęła lipa jak szczyt nieruchomy;
Przez długie wieki, nie bacząc na gromy,
Pieśń swą zwycięstwa wlewa w głośny szum.

Daleko w przestwór rozciąga konary
I ściele nimi szeroki cień w krąg;
W gałęziach ptasząt śpiewają rozgwary
I miody piją z wonnej kwiatów czary
Pszczoły, co lecą rojami od łąk.

Więc lipa dumna, że ptakom mieszkanie,
Pszczołom miód daje a ludziom znów cień,
Spogląda w górę, w błękitne otchłanie,
Strojna w zielonych gałęzi ubranie —
Pełna woniących naokoło tchnień.

Ale w jesieni u stóp swoich składa
Zielony, wiatrem pozrywany strój...
I smętna widzi, że liście jak stada
Wichr pędzi, tarza w prochu i rozkrada —
I czuje wtedy bliski koniec swój.

Stoi z gałęźmi czarnemi, suchemi,
Martwa, skostniała jako zimny trup,
A smętny wicher skrzypi raz w raz niemi,
Z pieśniami błądząc wśród nich żałobnemi,
Jak płaczka zwłoki spuszczająca w grób...

Józef Gertowski.

Grzyby w wierzeniach ludu.

Uzupełniając zamieszczony w poprzednich numerach „*Echa literackiego*“ szkic etnologiczny p. t. „Gwiazdy i grzyby w wierzeniach ludu“, podaję poniżej kilka nowych szczegółów.

W Zaborzu w powiecie rawskim, opowiadano mi następującą historję o powstaniu grzybów, po rusku zwanych hubami. Gdy jeszcze P. Jezus z św. Piotrem i Pawłem chodził po świecie, przybyli raz do jednej wioski. Ponieważ byli bardzo głodni, przeto wysłali św Pawła na „chaty“, aby się wystarał dla nich o chleb. Św. Paweł wszedł do jednej chaty, gdzie baba właśnie chleb sadzała do pieca. Ponieważ chleb jeszcze nie był gotowy baba dała mu dwa podpłomyki (pałanyci). Św. Paweł jeden podpłomyk ukrył pod czapką, na głowie, a drugim podzielił się z św. Piotrem, gdyż p. Jezus jeść nie chciał. P. Jezus wiedział jednak, że św. Paweł drugi podpłomyk ukrył pod czapką, przeto w dalszej drodze, ile razy św. Paweł wziął kawałek podpłomyka do ust, P. Jezus zaraz go o coś pytał, tak, że św. Paweł chcąc odpowiedzieć a nie chcąc się zdradzić, że coś zajada, musiał podpłomyk z ust wypluwać na ziemię. P. Jezus powtarzał swe pytania dopóty, póki św. Paweł nie wypluł całego podpłomyka, nic z niego nie zjadłszy. Gdy w kilka dni potem znowu wracali tą samą drogą. zobaczył św. Piotr pełno grzybów. Zdziwiony tem zapytał P. Jezusa, zkąd one się wzięły. P. Jezus wówczas odpowiedział mu, że grzyby (huby) te powstały z huby (gęby) św. Pawła, z tego podpłomyka, który ukrył on przed P. Jezusem.

W Iwoniczu krąży następująca legenda: „Szał P. Jezus z św. Piotrem bez las, spotkał im sie żołnierz, co szał na urlop. Żołnierz lamenci, że głodny. P. Jezus dobył pieniądze z worka, wzion 9 centów, żeby kupiał 3 kukiałki po 3 grejcary. Żołnierz wzion i poszał do miasta, a P. Jezus z św. Piotrem czekali go pod bukiem. Ale żołnierz był łakomy, kupiał po 2 grejcary trzy, a czwartą za 3. Przychodzi i daje te po 2. A pan Jezus mówi: „Jakiesi małe!“. — E, bo teraz przednowek, to drogie“. Tej nic, zjadli te kukiałki każdy po jednej; idą dalej. A żołnierz szał na zadzie; tej trzyma te kukiałki za 3 grejcary i nie może wytrzymać; zawsze uskubie i do gęby i do gęby. A P. Jezus wiedział, i obróci się do niego i zacznie coś gadać, a żołnierz ma odpowiedzieć, a tu kukiałka w gębie, ta zawsze się obrócie i wypluje za siebie. A św. Piotr też spostrzeg, że żołnierz coś gryzie, ale przy żołnierzu nie śmiał nic mówić, już kiedy żołnierz się oddzielił od nich; wtedy on gada do P. Jezusu: „Ej szkoda Panie, żeś mu nie dał zjeść, to i tak poszło na zagubę“. — „Nic nie poszło na zagubę, bo z tego będą grzyby“. I zrobiły się grzyby (Zbiór wiad. antr. VI. 256).

W Łużnej tak opowiadają: Św. Piotr zasiał pierwsze grzyby. Gdy z panem Jezusem chodził i ludzi nawracał, dostali obaj w jednym domu kawałek chleba. Wypadło im potem iść ścieżką przez las; Pan Jezus szedł naprzód, św. Piotr za nim. Gdy uszli kawałek drogi, św. Piotr wyjął chleb i zaczął go pokryjomu jeść. Pan Jezus wiedział o tem, lecz nie rzekłszy nic, zaczął z nim rozmowę. Św. Piotr aby mu odpowiadać, wypluł pogryziony chleb do ręki. Pan Jezus zasie obróciwszy się do niego, rzekł: „Rozrzuć to po lesie co masz w ręce“. Św. Piotr uczynił, co mu Pan Jezus był kazał i rozrzucił po lesie pogryziony chleb. Z niego to wyrosły grzyby (Zbiór wiad. antr. t. VI. 256).

W Sułowie prof. Br. Gustawicz zapisał następujące podanie: Gdy św. Piotr chodził z Panem Jezusem po ziemi, kazał kupić dwa chleby, ale nie jeść. Ale św. Piotr był bardzo głodny, a ponieważ Pan Jezus szedł naprzód, więc św. Piotr ugryzł swojego chleba, ale ile razy ugryzł, to zaraz się Pan Jezus obejrzał, a św. Piotr nie chcąc, aby Pan Jezus widział, że on je chleb wbrew zakazowi, zaraz wypluwał. Z tych wyplutych kawałków chleba powstały grzyby (Br. Gustawicz. Podania ludowe w dziedzinie przyrody.

W okolicach Zakopanego, Makowa Lencza i t. d. mówią powszechnie, że św. Piotr sieje grzyby i że po św. Piotrze (29 czerwca) najobficiej się one pojawiają. Również twierdzą tam, że gdy na św. Piotra deszcz, to będzie dużo grzybów. Górale znów utrzymują, że gdy w środę popielcową śnieg pada, zwiastuje to wiele grzybów. Im w dniu tym śnieg nawalniejszy, tem więcej będzie grzybów. Kto w dzień Bożego Narodzenia pierwszy spojrzy na las, będzie miał w lecie szczęście do grzybów. W dzień podwyższenia św. Krzyża (14. września) nie należy chodzić na grzyby (Janów). Obfitość grzybów w lecie jest w lubelskiem zapowiedzią nawalnych śniegów, w kieleckiem ostrej zimy (Gustawicz).

Wielu grzybom przypisuje lud rozmaite ukryte przymioty. Wspomniałem o tem dość obszernie w szkicu „Gwiazdy i grzyby w wierzeniach ludu“; tu przytoczę jeszcze kilka grzybów, które w pracy tej opuściłem. *Bedłka momitowa* (Agaricus emeticus), u Kluka zwana Czartopłochem, u Jundziłła Bedłką mierżliwą, u ludu polskiego Żygawcem, Czartopłochem, u Rusinów Hołubinką (Słownik rusko niemiecki Żelechowskiego), sprawiająca po zażyciu gwałtowne wymioty, poświęcona w dniu Matki Boskiej Zielnej (15. sierpnia) lub na Boże Ciało, ma chronić od czarta i czarowników. Ks. Chmielowski w „Nowych Atenach“ nazywa tę bedłkę: *morsum diaboli* i radzi używać jej przeciw czarom. W Krakowskiem opowiadają, że gdy czart straszy w jakiej chacie, należy poświęcony czartopłoch położyć przy drzwiach, oknie i kominie, a czart do chaty nie wejdzie.

Muchomora (Agaricus muscarius) używa lud powszechnie do trucia much; w tym celu kraje go drobno i nalewa go gorącem mlekiem. Utarty na papkę i pomięszany z mlekiem w takiej mierze, aby tworzył płyn kleisty, gubi pluskwy. W tym celu należy tym płynem zamazać szpary w ścianach i łóżkach; uczyniwszy to, nie można jednak mieszkać przez kilka dni w tej izbie dla mocnego, odurzającego zapachu (Sokalskie). Nasze bydlęta rogate mogą zjadać muchomora bez szkody dla siebie; koty i psy po zjedzeniu go giną.

J. Gerald-Wyżycki w swym Zielniku „ekonomiczno-technicznym“ (Wilno 1845) pisze o muchomorze, co następuje:

„Zażyty wewnątrz, wzbudza w ciele ludzkiem nader niebezpieczne, lubo nie zawsze śmiertelne zjawiska. Upojenie, pomięszanie zmysłów, zapamiętała śmiałość, wściekły gniew, drżenie członków, zwyczajnem są następstwem zażycia muchomora. Kamczadale robią z niego z dodatkiem wierzbolówki wązkolistnej (Epilobium angustissimum) napój mocny, którego użycie sprawia im przyjemne fantazje i marzenia. W zachwyceniu tem miewają widzenia duchów, śpiewają i przepowiadają w sposób uroczysty duchem prorockim; niekiedy zda się im, że się przemienili w olbrzymów; tu następuje zapamiętała wściekłość, hałasują i szaleją, aż burzliwą tę scenę, po gwałtownem natężeniu nerwów, głęboki sen zakończy. Kamczadale, Ostjacy i inne narody sybiryjskie tak wielkie w napoju tym mają upodobanie, iż ubożsi między nimi, nie będący w stanie nabycia go, zbierają mocz bogatych i piją, ponieważ on posiada własność podobnież upajającą. Własność ta zachowuje się w nim aż do czwartego człowieka, chociaż w stopniu coraz słabszym. W czasach dawnych, używali go szermierze sarmaccy,

kiedy mieli iść w zapasy, dla wzbudzenia w sobie wściekłości". (Str. 312 i 313).

Grzyb *Siedź* (przez pospólstwo zwany: chorosz, siedun) (Boletus ramossimus), suszony i utarty na proszek, używany bywa w okolicach Uhnowa we wschodniej Galicji, jako środek gojący zastarzałe rany.

Piestrzenica jadalna (Helvella esculenta) u Jundziłła Mitra (Helvella Mitra L.) nazwana tak dlatego, że zwija się, tworząc figurę podobną do infuły czyli mitry, poświęcona i noszona na piersi chroni od uroków. Tak samo Piestrzenica pomarszczona. (Helvella crispa).

Smardz jadalny (Phallus esculentus L.) zwany pospolicie smarszczem lub zmarszczem, moczony w spirytusie leczyć ma gościeć. (Kieleckie).

Płaskosz grzebieniasty (Merisma fallax) u Jundziłła Goździeniec, Kozia bródka (Clavaria corralloides L.), bywa używany moczony w wódce na wszelkie bole żołądka (Jundziłł 568).

Sromotnik śmierdzący (Phallus impudicus), obrzydliwie z daleka cuchnący, zwabia do siebie przenikliwym swym odorem muchy i inne owady. Używają go do wypędzania much z chał i stajni. W tym celu kładą go w chacie lub w stajni, polewają wodą, mlekiem i wódką, a następnie, gdy na nim muchy usiądą, wynoszą go i wyrzucają zdala od zabudowań na pole. Za nim mają się przenieść wszystkie muchy.

Purchawki (Lycoperdon), zwane przez wieśniaków bzduchami, przykładane na rany świeże, dzielnie wstrzymują krwotoki, osuszają zaś ciekące rany zastarzałe. Purchawka zapalona odurza dymem swym pszczoły i czyni je nieszkodliwemi podczas podrzynania plastrów.

Tyle zdołałem zebrać o grzybach.

E. Kolbuszowski.

FRANCISZEK MIRANDOLLA

Potargane myśli.

Nieartykułowany krzyk, ma w sobie coś bezpośredniego i działa fizycznie — jak ogień — jak trucizna. Znam jeden, który znaczy: „Nigdy"... On sparaliżował mi serce.

* * *

Wyglądam Ciebie, jak kwiaty, omdlałe w upale — chmury na niebie. I także nie wiem, czyś ty deszcz, czyś ty grad!

* * *

Mam Ciebie, jak miałem raz kartacz z zapalonym lontem w ręku. Tylko wtedy na czas uciekłem, a dziś...

* * *

Jesteśmy moja ukochana, jak dwa okręty, leżące w przystani. Okryte żelazną powłoką leżą cicho i nie wiedzą, czy popłyną razem, i nie wiedzą, czy mają bratnie, czy wrogie flagi na masztach.

* * *

Jeszcze teraz, kocham Cię lepiej, kiedy Cię nie widzę. To przyzwyczajenie... dawniej marzyłem o Tobie. Jeszcze mam dużo, dużo zimy w duszy. Jeszcze mi teraz łatwiej spać, jak czuwać.

* * *

Chciałem znaleść miejsce na grób, ciche i od hyjen bezpieczne. Spotkałem Ciebie. Szłaś milcząc i rzuciłaś kilka kwiatów. I tu zacząłem kopać grób, gdzie kwiaty padły. Nazajutrz kwiaty zapuściły już korzenie w ziemię. „Dzięki Ci!" pomyślałem, „będę spał w ogrodzie."

I choćbyś już nigdy nie wróciła, będę spał w ogrodzie.

* * *

Moje Szczęście, czy Ci będzie dobrze w mojej duszy? Czy Ci nie będzie zimno w mojej duszy? Tyś pierwsze światło i ciepło; dotąd były tam tylko mgły i błyskawice.

* * *

Gdybyś była kobietą, a ja mężczyzną, owinąłbym sobie Ciebie koło bioder i byłabyś moją Siłą — ale my jesteśmy dwa światy, które mają swoje drogi obiegu koło słońca. Czy to nie jedna mała chwila spotkania? I drżę, czy Ty nie pójdziesz odemnie swoją drogą. I drzę, czy ja od Ciebie nie pójdę swoją drogą.

* * *

Było zwierciadło wody, w którem przeglądały się gady, do którego zbliżała swą ohydną twarz Rozpacz, Lenistwo, Strach i Szal — to była moja droga. Przyszłaś i stoisz nad wodą i rzucasz w nią kwiaty a potwory mruczą w lesie zniecierpliwione. Gdybyś się przejrzała w mojej duszy, zdechłyby — a ty stoisz i rzucasz w wodę kwiaty, ciągle rzucasz kwiaty, ciągle...

* * *

Przed Tobą byłem i będę po Tobie, chodzi mi tylko o to, czy potem — będę miał zdrowe zmysły czy nie.

* * *

Widzisz te książki w szafie? Tam są słowa, któremi mówiła do mnie moja Nadzieja. Teraz trupy ubrałem w paradny strój i włożyłem do jednej wielkiej paradnej trumny. Czy ty się nie boisz trumny w pokoju?

* * *

Od gwiazdy umarłej pozostała mi na czole jasna plama. Wokoło było bardzo ciemno — plama świeciła, i dlatego, kiedyś przyszła, wskazałem Ci czoło i powiedziałem: Oto jest. Oszukałem Ciebie i siebie.

* * *

Ciepłą chmurą, co osłania serce na wysokich górach, przed zimną mgłą — taką chcę mieć miłość moją.

* * *

Mam przed sobą poezje miłosne. „Kocham“ wyszczerza do mnie zęby z każdej zwrotki i naraz widzę się nad bagnem, na którego dnie coś leży i milczy. Zdaje mi się, że to trupy ciekawych, co chcieli iść w bród. Niech milczy! Lepiej że milczy! Chcę kochać...

* * *

Boję się miłości, co jak żar zwrotnikowy, roztapia duszę i rodzi bakterje.

* * *

Leżę na wznak i czuję, że moje myśli fruwają mi nad czołem jak wianek jaskółek. Jak dobrze, że już jesień nadchodzi. Spokoju nadewszystko!

* * *

Stawiam przed sobą cel, a za sobą miecz. Jeżeli się cofnę teraz, cofnę się ostatni raz.

* * *

Wyobraźcie sobie malarza, któremu w chwili, kiedy wziął pędzel do ręki, ta ręka odpadła. I wyobraźcie sobie, że on przytem został przy zdrowych zmysłach. To ja.

* * *

Czy potrafisz Ty uszanować moją Nędzę i moją Nicość, powiedz moja żono?

* * *

Czy wiesz jak powstała Rozpacz? Człowiek pewien znalazł w piasku perłę i niósł ją na dłoni do domu. Ale przyszedłszy nie znalazł perły. Zginęła. Pytał się o nią Ziemi i Nieba, ale dziwne — nie usłyszał nawet echa swoich słów. Powiesił się. Gałęź pękła, i kiedy wlókł się powoli do domu ze sznurem u szyi oczyma, wodząc po piasku, zawył z radości; coś mu błysnęło w dali; myślał że to jego zguba, ale to był szkła kawałek, który mu zranił dłoń. Chodził ów człowiek i szukał długo i jeszcze ciągle chodzi. A to się stało dawno, bardzo dawno!...

* * *

Czuję, że nie będę mógł nigdy pojąć słowa: „Szczęście“ i boję się, że zawsze będę się śmiał na ten dźwięk.

* * *

Tak jak chce się czasem wołać całemu światu: „Kocham!“, tak chce się wołać czasem całemu światu: „Konam!“..

* * *

ADAM KRAJEWSKI

PRZYCZYNEK DO HISTORJI CZASÓW SASKICH W POLSCE.

Ciąg dalszy.

Po tej wymianie zdań, jaka nastąpiła między oboma królami za pośrednictwem generałów, uznał August ostatecznie za najlepsze ujechać ze Saksonji, armię zaś pozostawić na los szczęścia. Przedtem jednak pisze jeszcze do Fryderyka dwa listy, na które w dniu 16. września 1756 taką otrzymuje odpowiedź z *Sedlitz*:

„Otrzymałem dziś od Waszej król. Mości dwa listy: pierwszy dotyczy Jego rezydencji (Drezna), drugi Jego podróży do Polski. Zarzuty, jakie Wasza król. Mość czynisz co do miasta Drezna, są tego rodzaju, że łatwo mogą być usunięte. Co się tyczy podróży Waszej król. Mości do Polski, to spodziewam się, że będzie ona mieć miejsce prędzej, zanim przedsięwzięte przez armię operacje rozpoczną się na wielką skalę. Kosztuje to tylko dwa słowa Waszej król. Mości, aby sprawę rychło i dobrze załatwić. Ja z mej strony nie będę czynić żadnych przeszkód, tak w wydaniu potrzebnych paszportów, jako też w rozstawieniu poczt, gdyby Wasza król. Mość przez Szlązk zechciał jechać, niczego bowiem sobie nie życzę, jak okazać Mu oznaki tego szacunku i estymy, z jakiemi pozostaję i t. d.“.

Na drugi dzień po wysłaniu powyższego listu, jakby mu bardzo wiele zależało na wyjeździe jak najrychlejszym Augusta z Saksonji, wysela Fryderyk do króla polskiego generała von Winterfelda, który już poprzednio do Augusta posłował z pismem następującem:

„*Sedlitz*, 17. września. Posełam do Waszej król. Mości generała von Winterfelda z prośbą o Jego decyzję, ażebym mógł wiedzieć, czego się mam trzymać, lub do czego będę zmuszonym. *Fryderyk*“.

Nie ufał August zbytnio przebiegłemu dyplomacie, jakim bez zaprzeczenia był Fryderyk i więcej wierzył ministrom swoim, ciągnącym za sojuszem Saksonji z Austrją i Rosją. Irytowało to Fryderyka niezmiernie i mimo że od pamiętnego listu z dnia 15. września uważać można było stosunek dyplomatyczny z Augustem za zupełnie zerwany, a co potwierdzał nieodwołalny zamiar króla polskiego wyjazdu do Warszawy, raz jeszcze próbuje król pruski wzniecić w Auguście nieufność do ministrów saskich, pisze bowiem do Augusta z *Sedlitz* w dniu następnym, t. j. 18 września 1756:

„Okoliczność, że Wasza król. Mość autentycznym dowodom, jakie Mu przedstawiłem, a które dotyczą złej woli Jego ministrów, ciągle jeszcze nie wierzy, zniechęca mnie tem bardziej, że jestem w posiadaniu oryginalnych listów. Jestem przekonany i przyzna to cały świat bezstronny, że tylko konieczność, a głównie tak widoczna obecnie zła wola ministerstwa Waszej król. Mości, zmusiły mnie do chwycenia się drogi, która się sprzeciwia moim uczuciom i memu sposobowi myślenia. Wasza król. Mość zdajesz się być nie bardzo pochopny do podróży do Polski, zapomina jednak, że ja nie mogę dłużej czekać, ze względu na postawę wzajemną wojsk Waszej król. Mości i moich. Byłoby mem życzeniem, aby się to raz skończyło. Dowiedziałem się także z przykrością, że niektórzy z moich oficerów byli na tyle niegodziwi, iż zatrzymali różną zwierzynę, przeznaczoną dla Waszej król. Mości. Może Wasza

król. Mość być przekonany, że gdy się tylko dowiem, ukarzę ich ostro, wszystko bowiem co dotyczy Jego osoby i familji, jest dla mnie każdego czasu święte. Nie mogę przytem pominąć, że żałuję serdecznie, iż Wasza król. Mość zawarłeś związek z mymi wrogami, a który doprowadził do tej ostateczności tak interesa Jego własnej osoby, jak i jego państwa."

List ten był istotnie aktem kurtoazji, jak się okazuje z tego, że w tymże samym dniu zdecydował się ostatecznie August do wyjazdu do Polski, czem niemało uradował Fryderyka. W tym dniu bowiem pisze król ponownie do Augusta, a ostatni ten list nacechowany jest niezwykłą serdecznością, jakiej nie znajdujemy w listach poprzednich, pisanych do króla polskiego. W tym dniu przeniósł Fryderyk kwaterę swą do *Struppen* i ztąd też wyszedł list ostatni. Brzmi on następująco:

„Mój panie bracie! Wasza król. Mość wyraziłeś życzenie przedsięwzięcia podróży do Polski. Ponieważ sprawa między nami na jasno stanęła, wydałem bez dalszych przeszkód rozkazy, których Wasza król. Mość przez swego majora Zechwitz żądałeś i życzę z serca, aby ta podróż szczęśliwie się odbyła. Tylko od Waszej król. Mości zależeć będzie, jaką Sobie drogę obierze i gdyby Mu przyjemniej było, żadnych z mych wojsk na drodze Swej nie napotkać, to proszę mi objawić tylko swe myśli przez generała barona von Spörcken, abym je, odpowiednio do życzenia Waszego z drogi usunął. Kończę z najsolenniejszem zapewnieniem Waszej król. Mości, że pominąwszy to wszystko, co byłem zmuszonym w obecnych stosunkach uczynić, zachowam po wszystkie czasy względem Waszej król. Mości najzupełniejszą przyjaźń, w tej mierze, że gdyby kiedy Wasza król. Mość, lub Jego dom królewski czego potrzebywał, pochwycę za każdą sposobność z największą przyjemnością, aby Mu wyrazić najwyższy szacunek i poważanie, z jakiemi każdocześnie dla pana brata pozostaje Waszej król. Mości dobry brat — ***Fryderyk***."

(Dokończenie nastąpi).

Wiadomości artystyczne i literackie.

Nowa komedja K. Zalewskiego pt. „Ogniwa", wystawiona w ubiegłym tygodniu w warszawskim teatrze Rozmaitości, doznała tam dużego powodzenia. Nowy utwór autora „Przed ślubem" osnuty jest na tle dziejów upadku kobiety — matki i jej stosunku do syna, w chwili, gdy ten zaślubić ma ukochaną kobietę. „Ogniwa" odznaczają się swietnem podmalowaniem tła, psychologicznem pogłębieniem charakterów, oryginalnością wprowadzonych do sztuki typów oraz, jak zwykle, u Zalewskiego fakturą sceniczną. Główną rolę niewieścią grała p. Barszczewska.

H. Sienkiewicz bawi obecnie w Nizzy, gdzie pisze IV. część „Krzyżaków".

Warsz. „Przegląd kat." zamieścił ciekawą rzecz o ks. biskupie A. Naruszewiczu. Autor tego artykułu ks. A. P. przedstawił tam ostatnie lata uczonego autora „Historji Polski", jako oddane pożytecznej pracy kapłańskiej i uczynkom miłosiernym. Jestto więc ważny przyczynek historyczny do twórczości autora „Tauryki".

Wystawę prac przedwcześnie zgasłego artysty-malarza śp. Fr. Machniewicza otwarto 23. bm. w salonach krak. Tow. sztuk pięknych. Znajdują się tam, obok portretów, także szkice, pastele i akwarele.

W ostatnim numerze paryzkiej „Revue illustré" znajdujemy piękny portret (z sylwetką) naszej rodaczki, panny Bończa-Rutkowskiej, urodziwej i utalentowanej artystki Comedie francaise.

Koncerty. Słynny skrzypek Paweł Sarassate koncertował ubiegłego tygodnia dwukrotnie w Warszawie w wielkiem powodzeniem. — St. Bandrowski, tak dobrze zapisany w pamięci naszej publiczności, dał koncert w Krakowie. Sukces miał olbrzymi. — Paderewski koncertował w b. m. w lipskim „Gewandhausie".

Bohême, najnowszą operę Leoncovalla (istnieje opera pod tymże tytułem Pucciniego) wystawiła we środę z powodzeniem wiedeńska opera cesarska. Partje główne śpiewali pp.: Dippel i Renard. Pomiędzy kompozytorem a dyrektorem opery p. Malerem przyszło do ostrego starcia, z powodu że Leoncavallo postawił za warunek nieodzowny, ażeby główną partję tenorową śpiewał Van Dyck, chwilowo cierpiący. Twórca „Pajaców" żądał ewentualnego odroczenia premjery. Dyr. Maler postawił jednak na swojem, Van Dyck nie śpiewał, a Leoncavallo, rad nie rad, pogodził się ze swym losem.

O „Goplanie" Żeleńskiego znajdujemy bardzo sympatyczną krytykę w medjolańskim: „Il mondo artistico". Sprawozdawca nazywa w niej twórcę „Konrada" — natchnionym lirykiem, a wybitnie słowiańskich motywów dopatruje się w charakterystyce Grabca i piosnkach ludowych.

O krzesło akademickie po Meilhacu ubiegają się w Paryżu dwaj pisarze dramatyczni: Lavedan i Hervieu. Przyjęcie pp. Hanatoux i hr. de Mun do rzędu „niesmiertelnych" odbędzie się w marcu r. b.

W Monachjum zmarł znany artysta-malarz i ilustrator Al. Liesen-Majer.

„Iris", nowa opera Mascagniego wystawioną będzie w kwietniu w rzymskim teatrze Constancji.

W. „Russ. Starinie" ukazał się przekład znanego historycznego studjum Al. Kraushara, p. t. „Ofiara teroryzmu", dokonany przez F. Dąbrowskiego, tłómacza „Zupełnego zbioru pism H. Sienkiewicza", którego pierwszy tom już się ukazał na półkach księgarskich.

Najwięcej utworów naszego piśmiennictwa, zwłaszcza nowożytnego przyswoiła literaturze rosyjskiej: p. Anna Sacharow, która przetłómaczyła na rosyjskie książki: Jeża, B. Prusa: („Lalkę", „Emancypantki"), Sienkiewicza („Rodzina Połanieckich"), Sewera, Konopnickiej, Orzeszkowej Bałuckiego i w. i.

Suderman napisał nową sztukę, już po „Johanessie". Tytuł jej: „Stein unter Steinen" (Kamień wśród kamieni).